Rok I. Kraków, 15. kwietnia 1914. Nr. 8.

NASZA CHATA

DODATEK DO „NOWEGO DZWONKA“

wychodzi w Krakowie dwa razy w miesiącu — dnia 1-go i 15-go.

ZŁOTE MYŚLI.

Żaba skrzeczy, owca beczy,
Jedno, drugie — nie do rzeczy;
Tak i baba, kiedy z krzykiem,
Jak we młynie mle językiem.
Lecz ta mąka językowa
Ani dobra, ani zdrowa.

Próżne słowa.

Wojciech Kociuba sprzedał na jarmarku krowę. Powracał właśnie do domu i rozmyślał nad tem czy go przypadkiem żydzi nie okpili. Jakże! dali mu tylko 195 koron, kiedy on żądał dwieście i żona tyle mu wziąć kazała. Mówiła wprawdzie. że krowę i za 195 koron te sprzedać potrzeba, bo na zaległe podatki dłużej już czekać w urzędzie nie chcą, ale zawsze markotno jej to będzie i pewnie swoim zwyczajem kłótnie zaraz rozpocznie.

Ociągając się tedy trocha zdążał Wojciech do swej chałupy. Gdy był już od niej o kilkanaście kroków, posłyszał głośne krzyki i swary, wydobywające się z jej wnętrza.

— Oho już z Baśką wojnę toczy! — pomyślał otwierajac drzwi do chałupy.

Jakoż Wojciechowa, zaperzona, z krzykiem podsuwała pięści pod oczy dorastającej córki, Basi.

— Czemużeś jej nie pilonowała, co!? Czemuś nie patrzała!? Zginęła najnośniejsza kura, a ta nic! Wszystko na mojej głowie, nikim się nie posłużyć, nikim wyręczyć! Bodaj was! I czegóż tu siedzisz, jak malowana! — krzyknęła rozwścieczona. — Biegnij mi zaraz na ogrody, może ją gdzie jeszcze znajdziesz?

— Ola Boga! A toć żem całą wieś obleciała, już nóg pod sobą nie czuję! — broniła się Basia.

— Bodajżeś zdechła! — wykrzyknęła Wojciechowa. — Jak po zapłociach latać, to możesz, a za kurą pochodzić, to cię nogi bolą! Patrzcie ją, lalusię!

— Iij, nie pomstowalibyście, — mruknęła już ze złością Basia; — samiście winni. Mnie w izbie całe poobiedzie nie było, bom chusty u rzeki prała; wam kura zginęła, to sobie jej sami szukajcie.

— Cicho, ty żmijo! — zasyczała Wojciechowa i ku córce z pięściami skoczyła, ale ta, zarzuciwszy chustkę na głowę, pędem z izby wybiegła.

Wojciechowa zaś, pomstując a wyrzekając, trajkotała tak jeszcze z godzinę.

Kociuba nauczony doświadczeniem, że niebezpiecznie wtedy rozmowę z żoną zaczynać, siedział milcząc przy stole

i czekał, rychło-li baba mleć językiem przestanie.

— Sprzedałeś krowę!? — spytała nagle żona zwracając się ku niemu.

— Toć widziałaś żem bez krowy przyszedł.

— Com miała widzieć! — wrzasnęła znowu: — sprzedałeś, czy nie? powiadaj!

— Sprzedałem.

— Ileś wziął?

— 195 koron.

— Co!? 195 koron!? Skaranie boskie z tym chłopem? A toć żem ci jak łopatą w ten głupi łeb kładła, że miałeś wziąć 200 koron!

— Nie chcieli dać więcej.

— Nie chcieli dać! nie chcieli dać! — przedrzeźniała go baba. — Juści jak zobaczyli takiego ciemiengę, jak ty, to i nie chcieli dać!

— Trza było sobie iść samej, — bąknął Wojciech.

— A od czegóż mam ciebie, wałkoniu ty jeden, od czegóżeś ty chłop? Oj, rety! rety! Pięć koron żydom darował! A możeś ty je przepił, co? gadaj mi tu zaraz!

— Głupiaś! Samaś mówiła, żeby i za 195 koron nawet sprzedać, bo podatki płacić potrzeba, a teraz ozorem mielesz,

— Tyś sam głupi, pokrako, niedojdo!

I od słowa do słowa wzięli się Wojciechowie za łby, aż ich sąsiedzi rozdzielać i godzić musieli.

A sprzeczki takie miewali bardzo często, codzień prawie; a już najmniej raz na tydzień pobić się musieli. W chałupie ich wrzaski i pomstowania rozlegały się prawie bez przerwy, czyniąc z niej istne piekło.

A przecież sam Wojciech pracowity był, trzeźwy, Wojciechowa też o gospodarstwo dbała i dzieci mieli niezgorsze.

Ot, zatruwali sobie jeno życie próżną gadaniną, nie rozumiejąc tego że, Pan Bóg na to dał ludziom język, żeby za jego pomocą porozumiewać się pomiędzy sobą mogli, nie zaś dlatego, żeby go używać do kłótni i wymyślania.

Takich Wojciechowych jest u nas bardzo dużo, a i pomiędzy chłopami niejeden się znajdzie taki, który bez potrzeby rad językiem miele. Wyradzają się z tego niesnaski pomiędzy rodziną, czyniąc nieraz wspólne pożycie prawie niemożliwem, a i w rozmaitych stosunkach ludzkich próżne słowa bardzo wiele szkody czynią.

Baczyć więc należy, aby zbytniej gadatliwości wodzy nie popuszczać i szczególniej w życiu rodzinnem unikać niepotrzebnych swarów i kłótni, bo niedość, że sami zatruwamy sobie tem życie, ale i dzieciom naszym dajemy zły przykład, który napewno szczęścia im nie przysporzy.

Z. D.

SZLOMA.

Obrazek.

Szloma miał lat czterdzieści, oczy świdrujące, brodę rudawą, śpiczasto ostrzyżoną. Od dawien dawna był arendarzem w Roztokach.

Dobrze mu się działo, choć zawsze narzekał, choć w karczmie często pusto było. Z wieczora wcześnie karczmę zamykał, ale w komorze jego często długo światło jaśniało.

I dziś, jak zazwyczaj, Szloma wcześnie karczmę zamknął i poszedł do izby. Żona Ryfka, zasłoniwszy szczelnie okna kolorową szmatą, w kuchence obok coś jeszcze gotowała. Przez chwilę słychać było stamtąd jej krzykliwy głos, gderający na dzieci, rychło jednak ucichł. — Ryfka, widząc, że łajaniem dzieci nie uspokoi, dała im gruszek, które przyniósł dziś rano Kubuś Maciejów. Dzięki niemu dostawały

dzieci często owoce, oddawna już bowiem namówiła kaczmarka Kubusia, by kiedy mu się uda pokryjomu od rodziców narwać w sadzie owoców, przynosił jej, to mu za to papierosy dawać będzie.

Szloma usiadł przy stole, wydostał zwinięte w zatłuszczonych papierkach, zarobione dziś pieniądze, i zaczął je liczyć, gdy wtem ktoś do okna zapukał.

Żyd szybko pieniądze zgarnął, schował do kieszeni i poszedł drzwi otworzyć. Jakiś czas słychać było u wejścia cichy szept, poczem Szloma wrócił, prowadząc za sobą wysokiego silnego parobczaka.

— Dawajcie worek dworski, muszę dziś jeszcze odnieść go, by jutro przy młócarni rządca nie spostrzegł, że worka brakuje — mówił pospiesznie półgłosem parobek, — i pieniądze za pszenicę obliczcie zaraz, bo mi potrzebne — dodał.

— Czekajno, czekaj — odparł Szloma, posiedź se trochę i rozpowiedz, jakie tam u was we dworze nowiny.

— Dawajcie worek i pieniądze, Szloma — burknął parobek — nie mam ja czasu z wami gadać, trza mi prędko wracać. Gwałt był dziś u nas wielki, bo dziedzic spotkał babę, co przy młocarni zamiast plew owsa nabrała, i coś się tam z koniczyną wykryło, a że okazało się iż wszystkiemu winien gumienny, więc pan go przepędził.

Żydowi ze zdziwienia aż worek z rąk wyleciał. Chciał rozpytać o szczegóły, ale parobek, zabrawszy worek i pieniądze, nie chciał dłużej zostać, wyszedł z karczmy i, niespokojnie oglądając się pomknął ku dworowi.

Nazajutrz przed wieczorem, siedząca na przyzbie karczmy Ryfka, ujrzała idącego zdaleka gumiennego; natychmiast więc posłała małego Mośka, by ojcu o tem powiedział. Po chwili Szloma siedział już z gumiennym w szynkowni, a rozpytawszy jak co było, począł użalać się nad biedą jaka go spotkała.

— Z torbami teraz pójdziecie — mówił do gumiennego — gdzie wam teraz taką służbę znaleźć, jaka tu we dworze była. Prawda, mówiłem wam nieraz, że macie klucze od spichrza, zboże w ręku waszem, korzystajcie, możecie sobie pobocznie co zarobić, — nie chcieliście; a choć i zrozumieliście w końcu jaki możecie mieć zysk, to cóż — takeście nie zgrabnie zaczęli, że odrazu daliście się złapać. Cóż teraz zrobicie?

Gumienny strasznie był przybity.

— Toć pewno nie darujecie waszej krzywdy — mówił Szloma, dolewając mu wódki kieliszek za kieliszkiem — i nie byłoby dziwoty, tak was sponiewierali.

— Nie daruję — zawołał gumienny.

— Cicho — syknął żyd — nie bądźcie durny. Możecie robić ale nie gadać Róbcie ale nie rozpowiadajcie o swojej zemście. A że się mścić chcecie, któżby się dziwił. Toć z żalu możnaby dziedzicowi i zapałkę pod stodołę przytknąć..

Gumienny słuchał Gdy do karczmy szedł rozżalony był ino na siebie: miał taką dobrą służbę, chatę i ogrodu kawałek, i krów parę, i ordynarye, i pensyę nienajgorszą, i w chorobie poratunek u dziedziczki. Trzebaż mu było dać się skusić i dla marnej trochę koniczyny, dla ćwiartki owsa, pokryjomu wziętego, służbę tracić. Teraz jednak pod wpływem słów Szlomki i wódki, gumiennemu inne myśli zaczęły po głowie chodzić.

— Wy nie durny, potraficie za krzywdę waszą się zemścić — mówił tymczasem żyd, — więcej wam gadać nie trzeba. No, idźta, mnie już czas spać. Ot we dworze już śpią, na folwarku ciemno .. A weźcie sobie zapałki, może nie macie i idźta — nalegał.

Gumienny wziął zapałki, wyszedł milczący, ponury i pijany.

Szloma zgasił światło, nie kładł się jednak spać, a chodził od okna do okna, poglądając w stronę dworu.

Minęła godzina. Zmęczony żyd usiadł na ławie, oparł głowę na stole i zasnął. Nagle obudziły go jakieś straszne wrzaski, dolatujące ze strony dworu.

Szloma pobiegł ku drzwiom i wyszedł przed karczmę. Na folwarku stodoła stała w ogniu.

— Nie chciał dziedzic na pachciarza Szlomy — będzię teraz miał za moją krzywdę — mruknął sobie Szloma pod nosem i zaśmiał się dziko.

W tem usłyszał szybkie kroki na drodze. To ludzie ze wsi biegli na pomoc. Wyraz twarzy Szlomy zmienił się zupełnie.

— Gewałt, Gewałt, począł krzyczeć na cały głos. Ratujcie, wody! folwark się pali! Ratujcie!

A kiedy wracający z pożaru chłopi, mówili Szlomie, że dziedzica podpalono, żyd lamentował i przeklinał:

Żeby ten łajdak, co takiego dobrego dziedzica podpalił, zmarniał, żeby go Pan Bóg na dzieciach i wnukach skarał!...

X.

Dowcipny pomysł żony.

Andrzej Góra bardzo niedbałym był gospodarzem. Zamiast pilnować domu i pola chodził do karczmy i przesiadywał tam całemi nocami. We dnie zato spał długo i o gospodarstwo nie troszczył się wcale. Żona jego, pracowita i dzielna kobieta, wytężała wszystkie siły, aby zastąpić męża przy pracy, ale pana domu nikt zastąpić nie może. Wszelkie prośby i błagania biednej kobiety pozostały daremne. Andrzej niezłym był człowiekiem, lecz szatan wódki tak opętał, że za nic w świecie nie chciał go się wyrzec.

— Wszędzie roboty w polu już ukończone, — mówiła Elżbieta, żona jego, ze łzami w oczach, — a u nas ledwie co zaczęte! Czy ty się nie wstydzisz sąsiadów, Andrzeju?

— Cicho mi bądź z twemi wiecznemi wymówkami, — mruknął Andrzej niechętnie, — człowiek tyle ma kłopotów w życiu, to rad, jak o nich chociaż na parę godzin zapomni. Dobry trunek na frasunek!

— Ale ty przepiszesz wszystko! Co się stanie z nami? Z dziećmi? Chyba żebrać pójdziemy.

— Eh, zaraz tam żebrać! Starczyło dotychczas, to starczy i dalej, a dzieci niech same o sobie radzą!

— Andrzeju, na miłość Boską...

— Daj mi już raz pokój! — krzyknął Andrzej. — Nie masz tu nic do mówienia — ja wiem co robię!

I prostą drogą poszedł do karczmy.

Nieszczęśliwa kobieta gorącemi zalała się łzami.

Przedwczoraj sprzedał Andrzej już drugą krowę, a za drugą pójdzie trzecia i reszta inwentarza! I co potem?

Długo siedziała Elżbieta w smutnych pogrążona myślach, w końcu jednak otarła oczy i uśmiechnęła się. Widocznie ułożyła jakiś plan, za pomocą którego zdoła powstrzymać męża na pochyłej drodze.

* * *

Andrzej siedział w karczmie w towarzystwie kilku takich jak on zwolenników alkoholu i pił, jadł i grał w karty. Bawił się doskonale. Przy bocznym stole siedziało trzech innych gospodarzy, czytających gazety i palących cygaro — przed każdym z nich stała mała szklaneczka najlżejszego piwa. Byli to zamożni, pracowici ludzie, pozwalający sobie raz na

tydzień na szklankę piwa, które w dodatku pili tylko dlatego, aby módz czytać rozmaite gazety i pisma, Andrzej i towarzysze jego raczyli się wódką i likierami, a czerwone ich twarze i błyszczące nienaturalnie oczy zdradzały, że już kilkanaście kieliszków przepłynęło przez ich gardło.

Nagle otworzyły się drzwi i do izby weszła — Elżbieta. Swobodna, uśmiechnięta, ubrana w najlepszą suknię, usiadła obok Andrzeja i zawołała głośno:

— Proszę o kieliszek wódki!

Andrzej osłupiał. Patrzał na nią tak, jak gdyby własnym niedowierzał oczom i — milczał.

— No! — zawołała Elżbieta wesoło, — czemu nic nie mówisz? Myślisz, że ci chcę nauki prawić? Ej, nie! Uważam że robisz dobrze, bawiąc się tutaj, człowiek tyle ma kłopotów, że rad o nich chociaż na parę godzin zapomnieć! Dobry trunek na frasunek! Panie karczmarzu, proszę o dobrą kolację i o pół butelki likieru słodkiego!

Gospodarze czytający gazety, przestali czytać i patrzeli zdumieni na młodą kobietę pijącą jeden kieliszek likieru za drugim. Towarzysze Andrzeja i on sam siedzieli z otwartemi ustami, nie mając nawet odwagi przemówienia słowa — nikt też nie widział, jak zręcznie Elżbieta wylewała likier i ostatnie tylko z kieliszka wypijała krople.

Karczmarz przyniósł kawał pieczeni z kapłona, i to zjadła z wielkim apetytem aż do ostatniego kęsa.

— Proszę o szklankę piwa! — zawołała.

— Co to znaczy? — zapytał w końcu Andrzej. — Czyś ty oszalała, czy co?

— Dlaczego?

— Jesz i pijesz — a przecież to tyle kosztuje...

— Co tam! Starczy dla ciebie, to — musi starczyć i dla mnie, co tobie wolno to wolno i mnie! Tak mi się tu podoba że będę przychodziła z tobą codziennie na kolacyę i piwo. Czemu mam siedzieć w domu sama, podczas kiedy ty się tu bawisz? Gospodarstwo nasze i tak licho weźmie — a czy to się stanie prędzej, czy później, to już wszystko jedno! Chociaż użyję też trochę przyjemności!

Gospodarze zaczęli się głośno śmiać, Andrzej zaś nie wiedział, co robić ze wstydu i upokorzenia. Zapłacił karczmarzowi wziął żonę za rękę i wyszedł z nią z izby.

— Dałaś mi dobrą naukę, — rzekł, gdy szli do domu, — ale zasłużyłem na nią.. Przyrzekam ci jednak, że od tej chwili innym stanę się człowiekiem. Nie będziesz już miała powodu do narzekania na mnie.

I dotrzymał słowa.

Po wielu latach ciężkiej i mozolnej pracy nie było na gospodarstwie jego ani grosza długów — a wszyscy sąsiedzi szanowali i lubieli. Nikt go już w karczmie nie widział, a nawet niedzielę spędzał w domu w towarzystwie swej dobrej żony i dzieci.

I wszystko to było dziełem mądrej i dobrej kobiety.

Przyjaciele rolnika.

Wiemy wszyscy jak wielkie szkody wyrządzają co rok rolnikom gąsienice, chrabąszcze, chrząszczyki, pędraki i tym podobne szkodniki. Aby się choć w części od nich zabezpieczyć, zbieramy i tępimy je w sadach i ogrodach.

Ale sto razy więcej, niż człowiek, zrobią mali lecz niestrudzeni ich tępiciele: kret, i jeż, a także i nietoperz. Należy więc te zwierzątka ochraniać. Niestety, często przeciwnie się dzieje; ludzie ciemni czyhają na nie i zabijają je. A czyż to romumnie zabijać naprzykład kreta?

Toć to przyjaciel rolnika i ogrodnika. Gdy go zamkniesz w skrzyni, w części ziemią napełnionej, i dasz mu tam wody do picia i korzonków co najlepszego warzywa, to zdechnie z głodu, a rośliny żadnej nie ruszy; gdy zaś włożysz do tej skrzyni pędraków choćby codzień z pół funta, to wszystko zje i będzie jeszcze grzebał w ziemi i szukał więcej. A ciemni ludzie, bają, że kret korzonki zjada! To nieprawda. Kret żywi się pędrakami i dlatego jest bardzo pożyteczny. Również wielkim przyjacielem rolnika jest jeż i tępić go nie należy.

Ciemni ludzie boją się jeża, kreta, a także i poczciwego nietoperza, który zjada głównie ćmy nocne. Ale ludzie światli nietylko nie boją się tych zwierzątek, tecz je chronią i domownikom swoim nie pozwelają ich tępić.

Zamiar urządzania dziupli dla ptaków śpiewających godzien jest wielkiej pochwały. Ptaki śpiewające — to również wielcy przyjaciele rolnika, bo tępią niezliczoną moc szkodników.

Nie byłoby robactwa, ani gąsienic, ani pędraków, gdyby ptaki śpiewające miały gdzie się gnieździć. Dawniej, gdy jeszcze były puszcze nieprzebyte, gnieździły się ptaki śpiewające w dziupłach drzew. A gdzie teraz szukać dziupli, kiedy w pięknych lasach naszych pozostały zaledwie tyczki? Gdzież ma biedna ptaszyna znaleźć cichy kącik dla swoich piskląt, aby ich nie zabrała sroka, wrona, lub zły chłopiec?

Na to więc rozumni gospodarze mówią tak: — Kiedy ty, biedna ptaszyno śpiewająca, która żywisz się wyłącznie owadami i nas od ich szkód uwalniasz, nie masz gdzie się gnieździć, to ja tobie dam gniazdo, dam dziupel, i pracy nie pożałuję, abyś miała gdzie wychowywać pisklęta, bo pisklętom najwięcej robactwa będziesz znosiła.

Dziuple dla ptaków spiewających robi się tak: weź jaki bądź okrąglaczek z korą, trzy ćwierci łokcia długi, i wywierć w nim dziurę grubym świdrem. Kowal dziurę w okrąglaku gorącem żelazem rozszerzy; wtedy w jednym końcu zaszpunjuj ją szczelnie i dziupel gotowy. Takie dziuple umocowywać należy szpontem na dół, a otwór skośnie ścięty obrócić tak, aby woda z deszczu nie zalewała gniazda. Należy te dziuple umieszczać tak wysoko, aby źli chłopcy, ani koty nie mogli psuć gniazd. Dla najużyteczniejszych ptaków umieszczać dziuple na drzewach opodal zagrody.

Z gospodarstwa.

Jak sadzić ziemniaki?

Wszyscy rolnicy wiedzą, że ziemniaki udają się na lżejszych gruntach, wygnojonych w jesieni lub na wiosnę. (Jeżeli ktoś chce na gruncie mokrym uprawiać ziemniaki, to musi go wpierw osuszyć głębokimi rowami, lub przez założenie w polu sączków glinianych).

Ale nie wszystkim wiadomo, że oprócz gnoju warto kupić nawozu sztucznego przezwanego solą potasową i przed sadzeniem ziemniaków rozsiać najmniej po 200 funtów na mórg, zdrapać pole drapaczem wzdłuż i zbronować w poprzek, żeby sól dobrze się zmieszała z ziemią, i dopiero sadzić ziemniaki średniej wielkości, całe nie krajane. Gdy w jednym roku na pewnem polu doświadczalnem rozsiano soli potasowej za 15 koron na mórg, to plon ziemniaków zwiększył się o 19 i pół korcy z morga.

Sadzić ziemniaki należy tylko pod znacznik, który można samemu zrobić, a to w taki sposób: w sześciołokciową beleczkę trzeba wbić 6 kołków po 20 cali jeden od drugiego, a z przodu wbić dwa drążki, które będą służyły za dyszelki.

Taki znacznik wygląda jak wielkie grabie. Jeżeli zaprządz do niego jednego konia i po-

robić kreski na polu na krzyż, a w tych miejscach, gdzie się kreski przecinają, porobić motyką dołeczki, to sadzenie już pójdzie bardzo szybko i łatwo, bo do każdego dołka wpuszcza się po jednym ziemniaku i nagarnia się na niego ziemię nogą. Tak posadzone ziemniaki obredla się w ciągu lata 3 albo 4 razy (raz wzdłuż pola, drugi raz w poprzek). Gdy przy sadzeniu pod pług ziemniaki dają 100 korcy z morga, to przy sadzeniu pod znacznik dadzą 150 korcy z morga.

ROZMAITOŚCI.

Ostrzeżenie przed poszukiwaniem zajęć w Bułgaryi. Izba handlowa krakowska donosi, ze w ostatnich czasach wiele osób udaje się do Bułgaryi w mniemaniu, że tam obecnie łatwo znaleźć zajęcie i zarobek.

Osoby te, nie posiadają zazwyczaj fachowego wykształcenia, nie znając też języka bułgarskiego, dlatego nie znajdują żadnej pracy i muszą być odsyłane z powrotem przez konsulaty. Ministerstwo handlu przestrzega więc przed udawaniem się do Bułgaryi bez zapewnienia sobie przedtem zajęcia.

Skandal emigracyjny. Władze wykryły skandal emigracyjny na pograniczu galicyjsko-węgierskiem. Niejaki kupiec Gross, oczywiście żyd, od dłuższego już czasu ułatwiał wychodźtwo poza granice państwa austryackiego młodzieńcom obowiązanym do powinności wojskowej. Miał on w ostatnich latach przemycić przez granicę 18 tysięcy młodych ludzi, uciekających przed wojskiem, otrzymuiąc od uciekinierów wielkie sumy, podobno aż do 2 tysięcy koron.

Ministerstwo wojny, spostrzegłszy liczną dezercyę przed wojskiem, poleciło żandarmeryi śledzenie granicy oraz między innemi również biura Gross'a. Lecz mimo, że uciekinierstwo trwało daiej, żandarmerya sprawców nie wykryła.

Wówczas przysłano tajnych agentów na skutek donosu oficera sztabowego żandarmeryi, iż poszczególni żandarmi są przeknpywani przez uciekinierów. I rzeczywiście agentom udało się przychwycić kilku żandarmów na gorącym uczynku i to w chwili, gdy za osłanianie wychodźtwa powinnych do służby wojskowej brali po 100 koron. Aresztowano 9 żandarmów, dziesiąty zastrzelił się. Kupiec Gross, główny winowajca, uciekł. Wysłano za nim listy gończe.

Koszta podróży do Ameryki. Północno-niemiecki „Llyod“ podwyższył ceny III klasy z Bremy do Nowego Jorku dla dwóch parowców na 168 marek, dla innych na 158 marek. Równocześnie podwyższono ceny do innych portów północnej Ameryki.

Bandytyzm w Królestwie Polskiem. Gazety warszawskie donoszą znowu o całym szeregu napadów bandyckich, świadczących że bandytyzm znowu odżył w Królestwie.

W zeszłym miesiącu zajechało w Warszawie pewnego dnia samochodem przed zakład zastawniczy kilku elegancko ubranych panów, którzy wszedłszy do kasy zagrozili urzędnikom śmiercią i zrabowali znaczną kwotę pieniężną, poczem odjechali samochodem przez nikogo nie ścigani. Szofera samochodu aresztowano. W Łodzi przed gmachem filii banku państwa, bandyci napadli na inkasenta jednej z firm i w biały dzień zabrali mu 2400 rubli. Pod Zduńską wolą bandyci wpadli do jednego z domów, poranili gospodynię i zabrali 60 rubli.

We wsi Mory pod Warszawą do mieszkania sołtysa wtargnęli trzej bandyci i pod groźbą rewolwerów zażądali pieniędzy. Gospodarstwo oddali 2000 rubli schowane na strychu. Bandyci odeszli, związawszy sołtysa i jego żonę i zakazawszy im ruszać się z miejsca przez dwie godziny. Dwóch opryszków schwytano.

Z Częstochowy donoszą, że we wsi Suliszewicach, pod Porajem, napadło sześciu rozbójników, uzbrojonych w mauzery, na wójta Zarembskiego, ściągającego wraz ze strażnikami Millerem i Łuzinem podatki. Następnie rozbójnicy ci skryli się na chwilę w domu włościanina Bielawskiego, poczem go podpalili i uciekli.

Na kupców, jadących z Przedborza do Piotrkowa, napadli bandyci i zabrali im towar wartości 300 rubli.

Na dwór w Wąwolnicy, w powiecie garwolińskim należący do p. Adama Suzina napadło 6 bandytów zbrojnych w brauningi i mauzery. Zrabowali kosztowności i pieniądze w sumie około 4000 rubli i uciekli nieschwytani.

Na mieszkanie p. Miłobędzkiego, podleśnego w Reglach, napadli uzbrojeni w rewolwery bandyci, zabrali wszystką broń, zniszczyli całe urządzenie i rozbiwszy kasetkę, zrabowali kilkadziesiąt rubli. Pisarza, znajdującego się w mieszkaniu zranili w szyję.

Z początkiem kwietnia napadło dziewięciu uzbrojonych w rewolwery bandytów, napadło na dwór w Strzembowie, majątku p. Wincentego Charzyńskiego, oddalonym o niespełna dwie mile drogi od Zakroczymia, w powiecie płońskim. Opryszkowie dowiedzieli się, że przed kilku dniami wysłano z Warszawy do Strzembowa 2000 rubli na wypłaty i wtargnęli do dworu w chwilę po rozpoczęciu wypłaty.

Kasyer dóbr, który załatwiał rachunki z robotnikami i wypłacał im należność, usiłował stawić opór i ocalić pieniądze. Bandyci dali kilka strzałów z rewolwerów, kładąc go trupem na miejscu, poczem zrabowali pozostałe pieniądze, w sumie półtora tysiąca rubli, postrzelili dwu parobków, wyprowadzili ze stajni parę koni, zaprzęgli je do wozu i odjechali. Przerażona służba folwarczna nie śmiała stawiać oporu. Właściciel dóbr Strzembowo, p. Wincenty Charzyński, nie był obecny we wsi podczas napadu.

Wykłady wojskowe w gimnazyach. Gazety czeskie donoszą, iż dyrektorowie szkół gimnazyalnych i realnych w Pradze otrzymali pismo z komendy wojskowej, wedle którego oficerowie będą wygłaszali odczyty dla uczniów obu najwyższch klas, o fabrykacyi broni o obowiązkach wojskowych, służbie sanitarnej w wojsku i t. d. Odczyty te będą się odbywały po ostatniej godzinie.

I tam się na nich poznali. W Belgii towarzystwa asekuracyjne przestały ubezpieczać sklepy, założone przez żydów polskich i rosyjskich, gdyż przekonały się, że żydzi ci są najczęściej oszustami.

Zakazany zjazd rabinów. W Petersburgu miał się odbyć wszechrosyjski zjazd rabinów. Władze zakazały obrad.

Zawalenie się ulicy. W Grandley, w Anglii, zawaliła się ulica, położona nad kopalnią z której wybrano węgiel. Mieszkańcy zdążyli w porę ją opuścić i dlatego wypadków z ludźmi nie było.

Rozdzielenie zrośniętych sióstr. W obecności kilku lekarzy oraz studentów rozdzielił znany francuski chirug Filatre w pewnem paryzkim szpitalu dwie zrośnięte trzymiesięczne siostrzyczki. Operacya, do której trzeba było sporządzić osobne malutkie instrumenty, trwała kwadrans a wynik jej jest tak zadawalniający, że daje nadzieję utrzymania dzieci przy życiu.

Jak w Mongolii walczą z pijaństwem. W Mongolii stracono dla przykładu ludności dwóch niepoprawnych pijaków. Pozatem wiele osób siedzi w więzieniu za pijaństwo.

Zwrot brylantów. Pewna Warszawianka zgubiła w roku zeszłym w pociągu kolei warszawsko-wiedeńskiej dwa kolczyki brylantowe wartości 18.000 rubli. Obecnie je otrzymała z powrotem. Znalazł je pewien robotnik z Piotrkowa i zatrzymał, lecz przed paru dniami oddał je przy spowiedzi księdzu, a ten przesłał klejnoty właścicielce.

Żarty.

Różnica.

— Mamo, co to jest „defraudant“ Czy to złodziej?

— Tak, moje dziecko, ale w lepszym rodzaju.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Ks. Marceli Dziurzyński.

Drukarnia W. Poturalskiego Podgórze-Kraków